

Nasi poeci — podejrzewam — egzaltowali się pięknem polskich lasów. Konstanty Ildefons Gałczyński tuż przed śmiercią upojony swą leśniczką w Praniu poświęcił jej wiersz:

„Za oknem las i pole,
las — rozmowa sosenowa;
miał dzień i na stole
stoł lampy naftowej,
gadali, piliśmy
jak ze stołu Szopena...
Księżyc w srebrnej peruce
gra jak Bach na organach
i plynął koncert wielki
przez dęby i przez świerki —
to leśniczówka Pranie;
nocne koncertowanie...”

Dla Leopolda Staffa nie było „nie piękniejszego niż wysokie drzewa”, zaś Tadeusz Hołender w wierszu „Las” tak wyraził swą tęsknotę za naturą:

„Tumie zielni, burzo tłściasta,
woni surowych żywiczna struga,
uniesi mnie, wyrwij z kamieni miasta.
Szumem uspokój, ukryj na długo...”

Nasi ojcowie też wspominali: o, przed wojną to były lasy! A oto dziś wybitny znawca drzewostanów leśnych prof. Juda z Wrocławia ostrzega, że w 2000 roku, z najpóźniej w 2050 lasom polskim grozi zagłada na powierzchni trzech milionów ha. Groźba realna, jeżeli nie weźmiemy się poważnie za gospodarkę leśną, jeżeli lasy pozostawimy samym sobie, jeżeli nadal będziemy prowadzić rabunkowe gospodarowanie drewnem.

Wszyscy pamiętamy ubiegłoroczne dramatyczne zmagania z brudnicą mniszka, która zatakowała 1,8 mln ha sosnowych lasów. Leśnicy odnieśli w końcu chwilowe zwycięstwo i tamten rok lasy jakoś przeżyły. Jeszcze starczyło dewiz, paliwa i samolotów... Ale już w 1982 roku dyrektor do spraw produkcji Naczelnego Zarządu Lasów Państwowych w Warszawie, Tadeusz Orzeszek, zapowiada walkę z agresywną brudnicą na obszarze dwóch milionów ha. I od razu zastrzega, że trzeba mu 4 mln dolarów na środki chemiczne, 160 samolotów i 7 tys. ton olejów napędowych.

— Na razie nie mamy żadnych środków, minister Filipowicz też nie obiecuje. Ale pozostawienie drzewostanów, głównie abietycznych sosen, które stanowią 72 proc. wszystkich lasów, oznacza klęskę dla przemysłu drzewnego i leśnictwa. Tych strat nie dałoby się przeliczyć na złotych, jako że jeden milion ha lasów trzeba by z miejsca wyciąć w pień — zwierzył się dyrektor Orzeszek.

Nie tylko mniszka rujnuje Hołenderowski tum zielni leśnej. Sudeckie świerki pożera kornik, dwutlenek siarki wokół wielkich aglomeracji miejskich zabija bezpowrotnie co roku dziesiątki tysięcy lasów iglastych, pyły i dymy fabryczne brutalnie niszczą każde drzewo. Na dzisiaj mamy w Polsce pół miliona ha uszkodzonych i chorych lasów. Z chwilą, gdy rusza bełchatowski kopalnię, trzeba będzie spisać na straty dalsze pół miliona ha. Wokół Legnicy, gdzie eksploatuje się węgiel brunatny, zasoby leśne praktycznie nie znajdują się w stadium obumierania, a kiedy zaczniemy wydobywać pod Suwałkami tytan i wana, śmierć biologiczna grozi najdroższymi i najcenniejszym pod względem genetycznym lasom w północno-wschodniej Polsce.

Jeśli i teraz ktoś powie: strachy na Lachy, to dopisemy jeszcze prawdę o skutkach niewłaściwej pielęgnacji lasów, o bezbronnych na wynaturzenia pogody karłowatych sosnach i rachitycznych świerkach. Otóż trzy lata temu, w trakcie paraliżującej niemal całe nasze życie suszy, tylko w ciągu jednej doby huragan porywał z śnieżyca połowę 3 mln m sześć. Młodostanu. Leśnej tragedii dopełniły wiosenne powodzie w 1979 roku oraz techniczna niemożliwość usunięcia z lasów posuszu. Drzew połamanych i uszkodzonych, a nie inne prace.

listy do redakcji

Wątpliwości konkursowe

Na łamach „GW” z dnia 6.X.1981 r. nr 199 ukazał się lakoniczny komunikat o rozstrzygnięciu konkursu na najlepsze prace habilitacyjne, doktorskie, magisterskie i dyplomowe, dotyczące problematyki województw: białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego, a pilotowany przez białostocki Ośrodek Badań Naukowych.

Komunikat nasuwa dość istotne wątpliwości, pełen jest anonimowości i niedomówień. Bo przecież gdzie, jak nie na łamach dziennika, mieszkaniec naszego makroregionu powinien spotkać się z pełną informacją, dotyczącą tego terenu. Są to tak ważne i istotne kwestie dotyczące przecież rozwoju naszych województw, że nie można ich traktować w sposób marginalny. Ale jest to zarzut wyłącznie skierowany pod adresem mało dociekliwego dziennikarza. A wyda-

wało się, że przejrzysta i powszechnie akceptowana forma omówienia nagrodzonych z dziedzin kultury zrobiona przez red. Kwawskiego znajdzie nadsładowców.

Jeżeli chodzi o sam konkurs, to nasuwają się następujące wątpliwości. Po pierwsze, co to znaczy, że na „konkurs tegoroczny zgłoszono”; kto ma prawo zgłaszać prace, o jaki rok chodzi — kalendarzowy czy akademicki? Jak traktuje się prace, które nie zostały zgłoszone, a poruszają istotne problemy i metody ich rozwiązań dotyczące naszego makroregionu? Myślę, że OBN śledzi dokładnie to wszystko, co ukazuje się i dotyczy naszych województw z różnych dziedzin. Interesujące byłoby podanie pełnego składu komisji konkursowej, a także przynajmniej krótką motywację, dlaczego wyróżniono i na-

VI Konkurs im. Franciszka Gila na reportaże

Konkurs nawiązuje do dorobku Franciszka Gila, który małopolską wieś uczynił terenem płodnych obserwacji dziennikarskich i literackich. Organizatorem należy na reportażach ukazujących w sposób artystyczny i wszechstronny rozwój życia społecznego na wsi, kształtowania się i dojrzewania postaw ludzi i zespołów będących współtwórcami socjalistycznych przemian na tle autentycznego obrazu tych przemian. Z ukazaniem sukcesów, trudności i konfliktów. Intencja organizatorów jest również pozyskanie prac będących plonem obserwacji i analiz rodzenia się na wsi nowego ruchu samorządowego i związkowego. Konkurs jest otwarty o zasięgu ogólnopolskim.

Nagrody mogą być przyznane wyłącznie za reportaże, niegdyś wcześniej nie publikowane w jakiegokolwiek formie. Organizatorzy nie ograniczają rozmiaru prac. Wynakłady nagród:

1 — 20.000 zł, dwie drugie po 15.000 zł, trzy trzecie po 10.000 zł oraz cztery wyróżnienia po 5.000 zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród, a także zmiany ich wysokości.

dzonych. I zalegają te zwaly drzewa w lasach do dzisiaj, a część drzewostanu Puszczy Knyszyńskiej z tego powodu z wolna wysycha.

Ma dyrektor naturalnie wiele racji, zresztą potrafi przekonywać bronić lasów („Za

Lasy same nie rosną

50 lat nasze wnuki będą nam dziękować za wspaniały las, jaki im wyhodowaliśmy. Od powojnia posadziliśmy sosny na dwóch mln ha ziemi”; umie świetnie chwalić swój pion („Leśnicy to wspaniali bracia”) i tłumaczyć, że łowiec trzeba zreorganizować i rozwijać celniej strzelając do zwierzyny pólnej („Proszę pana, żeby wszyscy strzelali tak jak minister Filipowicz” — wrzychał). Ale już nie do obrony jest fakt, że robotników z lasów wymiotło, a na ich miejsce przybyło administracji leśnej. Ten stosunek ma się dzisiaj jak 1:1, tak w kraju jak i w regionie.

Nie da się także ukryć, że z lasami nie umiemy żyć w zgodzie. Oto prezes WK ZSL w Białymstoku, Stanisław Pienkowski na odbytym tydzień temu wyjazdowym posiedzeniu Stronnictwa, na które notabene przybyli wszyscy mający cokolwiek do powiedzenia o leśnictwie, wypędził szefa Centrali Lasów w poważne zakłopotanie.

— Powiedzieć dyrektorze Orzeszek, jak to się dzieje, że całe lata wycinamy 80-letnie sosny i świerki, podczas gdy najstosowniejszy wiek rebośni tych drzew, to 120—140 lat? A dziesięć w latach 1950—1980 wyrabialiśmy 100 mln m sześć, drewna ponad plan bezprzekładnie niszcząc życie biologiczne lasów?

Na te argumenty — zarzuty czytelnik nie uzyska sensownej odpowiedzi. Fakty są bowiem bezdyskusyjne, świadczą o prowadzonej niebezpiecznej polityce eksploatacyjnej. Dziś raczej trzeba myśleć jak ja przerwać. Doraźnie minister Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego wydał zarządzenie, aby podwyższyć wiek rebośni polskich lasów o około 20 proc. Obecnie mamy ledwie 15 proc. lasów najstarszych klas, podczas gdy normy ekologiczne i gospodarcze mówią, że powinno ich być 30 proc. Średni wiek sosny polskiej wynosi tylko 49 lat. Mamy więc młode lasy. Ale ta młodość nie jest autem, lecz stanowi powód do troski, do bicia na alarm. Nie wiadomo jednak czy przemysł papierniczy o-

raz handel zagraniczny zgodzą się na ograniczenie pozyskiwania grubizny; na manewr, który dobrze przysłużyłby się lasom, ale gorzej celulozowniom i bankom.

Warto tu wyjaśnić, że na eksporcie drewna dobrze zarabiamy. Ile — dyrektor Orzeszek nie chciał mi zdradzić, ale poinformował, że wysyłamy rocznie 800 tys. m sześć, tarczy do Anglii oraz 700 tys. m sześć, taw. papierów do Szwecji. Także importujemy — około 100 tys. m sześć, papierów z Związku Radzieckiego, chociaż w Sudetach mamy doreadne świerki. Tadeusz Orzeszek tłumaczył, że ten zakup drewna trzeba kontynuować, „bo z ZSRR obowiązuje nas długoletnie umowy handlowe”. Już jako ciekawostkę przytoczę taki fakt: otóż ZSRR zaproponował nam sprzedaż pięknych świerków syberyjskich i pewnie transakcja doszłaby

do skutku, gdyby nie jedna trudność. Mianowicie nie do pokonania był problem transportu drzew syberyjskich z odległości ponad 7 tys. km.

Rzecz jasna o leśnikach trzeba również powiedzieć parę zdań ciepłych. Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych w Białymstoku, nadzorujący gospodarkę leśną na obszarze 810 tys. ha ma na swym koncie także sukcesy. Wspomnieliśmy już o najwartościowszych genetycznie w Europie, tu właśnie rosnących lasach, tutaj też mamy trzy puszcze z unikalną, Białowieską na czele. W latach 1970—1980 zalesiano w regionie rocznie po 5,7 tys. ha gruntów, a w wielu nadleśnictwach gospodarkę leśną cechuje dobry poziom. Były i potknięcia jak np. takie, gdy w gminie Michałowo obsadzono lasiem glebę pszenno-buraczaną, a w gminach Krynki i Gródek pod lasy zabrano ziemie żyzno-kartoflane.

Oto jesteśmy w Nadleśnictwie Waliby liczącym 23,5 tys. ha lasów państwowych i 5 tys. ha prywatnych. Bogusław Wróbel dla kontrastu prezentuje kawałek lasu prywatnego oraz państwowego, obydwa w jednakowym wieku — około 50 lat. W prywatnym sosenki o słabej kondycji, na ziemi pełno chrustu, zaniedbanych. Ten państwowy — to okaz lasu; sosny wysokie i smukłe, drzewostan zdrowy, iglasty pomieszany z liściastym, tak jak powinno być.

— Kawałek dobrej roboty — dzieli się refleksja wojewoda białostocki, Kazimierz Dunaj — Leśnicy pokazują akurat najlepszy las państwowy i najgorszy chłopski. Szczerze mi do ucha jeden z doradców wojewody. Może i tak, ale fakty są bezłitośne: lasy zabdany i wypielegnowany wydaje trzykrotnie więcej grubizny od pozostawionego na lasce losu. Oficjalne dane: przeciętny zapas grubizny na pniu w lasach państwowych oblicza się na 164 m sześć/ha, natomiast w prywatnych — 65 m sześć. Ta druga liczba jest wielkością szacunkową, ale zapewne wielkie pomyłki nie ma.

I tu jest problem. Chciałoby się, a właściwie to wymóg społeczny, aby wszystkie lasy były piękne, zdrowe, wydajne. Cóż jednak czynić z rolnikami, którzy ma 30 ha lasów i zarzy doń raz w roku, aby wyciągnąć zeń parę sosen? Leśnicy domagają się prawnego uregulowania sprawy. Chcą mieć prawo chronienia stanu naszych lasów, ale nielato prywatnym właścicielom odebrać hektary, zaś na dobrowolną sprzedaż mało kto się decyduje. Jak dotąd nie widać możliwości rozwiązania kwestii, choć wszyscy są zgodni, że tak dalej być nie może.

Nie ma spotkania z lasem i z leśnikami, by nie mówić o łowiectwie. Temat ciągle wstydliwy, wszak niedawno dyrektor GZLP oberwował się, m.in. innymi na łamach „GW” za wielce skuteczne organizowanie polowań dla ludzi znanych z pierwszych szpał prasy terenowej i centralnej. Jeśli jednak zwierzyna leśna wyrządziła w 1980 r. tyle szkód, że koła łowieckie zapłaciły rolnikom 1 mld zł rekompensaty, to przecież problem istnieje. A na dodatek pomijamy fakt spustoszenia lasów. Nie ma więc wątpliwości: dzisiaj trzeba więcej i celniej strzelać do zwierzyny leśnej, bo rozmnożyła się za dużo.

Myślni jednak miewają pretensje do leśników, że utrudniają im się polowania. Żalili się niedawno dyr. Orzeszkowi jeden z znanych ministrów, że koło Opoczna w młodniku sosnowym buszowały sobie duki. Wybrał się minister do tego lasu, sbrzał obok siebie pochrzakujące duki, ale ich nie mógł dobrać — taka była gestowa. Nakrzyknął więc na szefa Zarządu Lasów, że nie biegną się młodniki nie epodł Opoczna. Nie wiedział ignorant leśnej natury, iż młodnik sosnowy czym gasku, tym lepszy, bo na tym polega życie biologiczne młodej sosenki...

No, ale nie anegdotką należałoby rozstrząsać się z lasem. Zupenie poważnie: należy bić na alarm, bo inaczej złowrogie przepowiednie prof. Judy zmierzają się szybciej niż za 70 lat. Nie przypominam więc sobie, aby rząd PRL zajmował się gospodarką leśną — wychodząc zapewne z założenia, że lasy same rosną. A lasom i leśnikom trzeba dać pomoc. Trzeba najpierw wyciągnąć z lasów drewno, które zmieszane z węglem w proporcji 1:5 da nam pełnowartościowy opał i podreperuje fatalny bilans paliwowo-energetyczny.

Dalej — trzeba gospodarkę leśną zmecznizować, tak jak to się czyni na całym świecie. Leśnictwo w ostatniej 5-lacie nie otrzymało ani jednego ciągnika typu Ursus C-385, najbardziej w lasach użytecznego. Leśnictwo nie ma też mieszkań, a do lasu nikt nie chce iść. Należy budować osady leśne z drzewa, którego w lasach leży w bród. Pojeżdżam, że decydując o problematyce dręczącej leśników i stan zagrożenia ekologicznego polskich lasów nie są za dobrze znane. Stąd propozycja: czy nie warto byłoby, aby nowo wybrane władze partyjne poszczególnych województw poświęciły jedno plenarne posiedzenie, najpełniej wspólnie z ZSL-em, naszym chorym lasom i sfrustrowanym leśnikom? Żeby lasy poznać i uzdrowić, trzeba do lasu wejść i poznać go od kuchni. Tak mawiają leśnicy.

Zaczęłam od słów poetów, zakończę od krytycznym widzeniem krajobrazu oczyma Juliana Przybysia w wierszu „W głąb las”:

„W głąb las nasunęły na las
drzewami się zasnuł,
konary chwieją pustym zmierzchem
i szumi
złamana
gałąź wiatru.
Odwrocony jak powietrznik
ku strząśniętym lasom,
wypatrują żółtych łici na wierzhe,
dopóki
wcześniej ich niż powieki nie stumi
polana, opadła pod samotne buki.”

HENRYK KIN

PROSTO Z SEJMU

Zabrakło partnera społecznych porozumień

31 w obecnej kadencji posiedzenie Sejmowej Komisji Pracy i Spraw Socjalnych poświęcone było realizacji porozumień społecznych w kwestiach podwyżek płac i zwiększenia zaopatrzenia emerytalnego. Resort reprezentowali podsekretarz stanu w Ministerstwie Pracy, Płac i Spraw Socjalnych J. Bury i dyrektor Departamentu Ubezpieczeń Społecznych A. Januszek. Pomimo zaproszenia na posiedzenie nie pojawił się przedstawiciel nadzwyczajnej sejmowej Komisji ds. realizacji porozumień. Nie było także przedstawicieli związków zawodowych.

Wiceminister Bury zaprezentował posłom wykonanie przyjętych w porozumieniach szczecińskim, gdańskim i jastrzębskim rządowych zobowiązań. Przy realizacji robotniczych postulatów brane były pod uwagę także inne porozumienia (resortowe i branżowe) zawarte w ciągu minionego roku. Tych porozumień jest ok. 600!

W wyniku sierpniowych porozumień wszyscy zatrudnieni w sektorze państwowym otrzymali podwyżki płac. Na mocy Uchwały nr 81/80 Rady Ministrów na podwyżki przekazano została kwota 103 mld zł. W lipcu br. nowa Uchwała — nr 152 przekazała na realizację podwyżek płac dalsze 80,4 mld zł. Oznacza to, iż faktycznie podwyżki osiągnęły zamiat 400 — 800 zł płać 1100 zł miesięcznie. Tak więc, pomimo braku dokumentu, ściśle określającego minimum socjalne w Polsce (dane szacunkowe określała minimalne płace w gospodarce społecznej na około 2.400 zł), najniższe uposażenie miesięczne w kraju wynosi w chwili obecnej ok. 3000 zł.

Od 1 listopada br. wchodzą w życie przepisy regulujące zwiększenie dotychczasowych emerytur i rent (likwidacja tzw. „starego portfela”). Jest to kolejna podwyżka tych świadczeń, lecz dopiero teraz poziom emerytur i rent korespondować będzie z minimum socjalnym; tzw. dolna granica świadczeń wyniesie będzie także ok. 3000 zł. Ustalono poza tym, że w ciągu najbliższych trzech lat granica wieku zatrudnionych w górnictwie, którym przysługują prawo do emerytury, skrócona zostanie o 55 roku życia na 50. Nadal natomiast obowiązywać będzie przepis, na mocy którego emerytura z wszystkimi dodatkami nie może być wyższa niż 95 proc. ostatniego, przed nabyciem do niej prawa, miesięcznego uposażenia.

Kwestie sporne wywołała także sprawa ciągłego niegotowości ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym rolników. Jest gotowych kilka koncepcji opracowania tego aktu, ciągle jednak nie sposób osiągnąć kompromisu. W tym wypadku jednak zarówno resort Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, jak i sejmowa komisja w ramach przysługujących im kompetencji nie są w stanie przyspieszyć opracowania tej ustawy.

31 posiedzenie sejmowej komisji nie było więc ostatnim, poświęconym realizacji porozumień społecznych. W dyskusji nad aktualnymi problemami społecznymi zabrakło bowiem głosów trzeciej siły — czyli przedstawicieli centrali związkowych. Propozycje niektórych posłów o konieczności renegocjacji części porozumień posłepniowych zawisły tym samym w próżni.

JANUSZ ATLAS



Kim są delegaci, wybrani na Zjazd „Solidarności”? Są to — jak podało Biuro Prasowe Zjazdu — głównie robotnicy. Niewiele pod względem liczebności ustępuje im grupa „Inteligencji pracującej” związanej z wielkim przemysłem, są też nieliczni delegaci określający się jako rolnicy. Patrząc od strony merytorycznej dominują na Zjeździe ludzie z rubryki 30—40 lat. Oczywiście wszystkie te charakterystyki, których podstawą są akta personalne nie mówią nic o orientacjach politycznych delegatów.

Zatem pytanie, które postawiłem winno brzmieć raczej tak — jakie postawy polityczne prezentują delegaci na Zjazd? Można byłoby odpowiedzieć, że w hali „Olivia” panuje pełny pluralizm. No więc są tutaj działacze o orientacji socjaldemokratycznej, socjalistycznej, komunistycznej, czy wręcz chadeckiej. Znamość zróżnicowań politycznych znowuż jednak nie stanowi wystarczającej wiedzy do tego, aby skomentować zjawiska zachodzące na Zjeździe w sposób odpowiedzialny i

przejrzysty. Ocena postawo- wien i uchwał forum zjazdowe- go będzie pełniejsza, gdy od- powiemy sobie na jeszcze jedno pytanie: kim są delegaci, w sensie doświadczenia politycznego i wiedzy politycznej? Odpowiedź na powyższe pytanie ma w moim przekonaniu

Amatorzy poparli to stanowis- ko. Czy zdawali sobie sprawę z tego, że zbytkotowanie ustaw stawia „Solidarność” w opo- zycji do Sejmu i jest krokiem w kierunku konfrontacji. Myślę, że nie byli tego świadomi, bo jako ludzie z reguły umiarko- wani i kompromisowi nie po-

zawodowcy rzecz jasna nie są jednolici w swoich poglądach, na rolę i zadania „Solidarności”. Dobry, choć językowo niefortunny jest podział na pragmatyków i fundamentalistów, zaproponowany przez doktora Stanisława Pragmatyków, którzy realnie oceniają możliwości pokojowego działania związku, mają teoretycznie biorąc większe szanse znalezienia poparcia amatorów niż fundamentalistów. Ci ostatni jednak operujący zresztą demagogią umieją rozpalic emocje na sali. A pamiętajmy,

matorem. Albo zawodowcem, który rozumie tak: heca tytoniu ma udowodnić, że rząd nie jest w stanie przeprowadzić istotniejszych reform, w tym reformy cen, jeśli nie uzyska akceptacji „Solidarności”.

Zawodowcy rzecz jasna nie są jednolici w swoich poglądach, na rolę i zadania „Solidarności”. Dobry, choć językowo niefortunny jest podział na pragmatyków i fundamentalistów, zaproponowany przez doktora Stanisława Pragmatyków, którzy realnie oceniają możliwości pokojowego działania związku, mają teoretycznie biorąc większe szanse znalezienia poparcia amatorów niż fundamentalistów. Ci ostatni jednak operujący zresztą demagogią umieją rozpalic emocje na sali. A pamiętajmy,

że amator w odróżnieniu od rasowego polityka, dość często kieruje się emocją.

Jest jeszcze na Zjeździe grupa ludzi, którzy są zwykłymi politycznymi graczami. Są to wśród delegatów na szczególne jednostki naliczne, bardziej masowo pojawiają się w kuluarach czy jako dziennikarzy, czy też obserwatorów lub doradców. Dla gracza mniej ważny jest program polityczny niż sam fakt, że może politykę uprawiać. Gardują zatem w kuluarach członkowie KPN, byli działacze KOR, oraz innych mnożących się jak grzyby po deszczu organizacji quasi-politycznych. Jeśli „Solidarność” stoi na gruncie pluralizmu światopoglądowego i politycznego, nie może oczywiście najróżniejszych polityków skazać na milczenie. Niech sobie coś tam po kątach szepczą, ale nie można się na to dać nabierać. Oczywiście zawodowcom nie brać się nie da. Krótko mówiąc — szanujmy zawodowców.

Amatorzy i zawodowcy

(ANDRZEJ RÓŻAŃSKI KOMENTUJE)

listy do redakcji

Władza nie powinna bać się tego, co człowiek chce powiedzieć, lecz bać się musi wtedy, jeśli ktoś nie chce mówić tego, co myśli.

Ogólnie chcę pogratulować „Gazecie” — jej twórcom — za szeroki zakres dostarczanych informacji z kraju, a głównie z naszego regionu północno-wschodniego, w którym żyjemy.

Pozwól sobie jednak zwrócić uwagę na fakt, że w ostatnim okresie czasu większość artykułów podawana jest za agencją prasową, które są zamieszczane jeszcze szerzej w „Trybunie Ludu”, zaś zbyt mało miejsca poświęca i pisze „Gazeta” o sprawach naszego regionu, naszych kłopotach i zmaganiach z trudnościami dnia codziennego, wreszcie o naszych osiągnięciach i oczekiwaniach.

Można też zauważyć, że gazeta stara się znów służyć więcej partii niż szeroko pojętemu społeczeństwu, a do takich informacji jest przecież „Życie Partii”, „Nowe Drogi” itp., i nie warto tu chyba robić konkurencji.

Rozumiem, że powinny być różne gazety, gdyż mamy różnych czytelników, ale uważam, iż nasza „Gazeta” regionalna, jako Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, powinna zaspokajać potrzeby szerokiej rzeszy czytelników — obywateli i zyskiwać dla siebie coraz to większe uznanie i poparcie.

Muszę przypomnieć, że np. zaczęłam z zainteresowaniem czytać od pierwszych numerów tyg. „Krajobrazy”,

po której zaciekał spado, a jak ujrzałem kiedyś na czołowej stronie artykuł zatytułowany (przesadnie) — „Ja i partia” to już zrezygnowałem z tego pisma (przez samo pismo)! Narzekamy m. in. na brak papieru, a w naszych kioskach „Ruch” i leżą stopy suwalskich „Krajobrazów” i po kilka egzemplarzy „Rzeczywistości”, których ludzie nie kwapią się kupować i czytać.

Natomiast z przyjemnością mogę stwierdzić, że „Gazeta” — popularnie zwana jako „nasza” ma wielu sympatyków, do których i ja się zaliczam i pragnę, aby nadal służyła szerokim kręgom czytelników.

W „GW” z dnia 30 września 81 r. przeczytałem z ubolewaniem informację Naczelnego Redaktora pt. „Oczywiście plotka” — w której to plotce (zdaniem moim i kolegów) kryje się sporo prawdy, gorzkiej prawdy, niestety, i szkoda wielka!

Nie może przecież podobać się taka dyskusja, czy też nawet propozycja, aby z upływem kadencji instancji wojewódzkiej KW PZPR kończyła się jednocześnie kadencja Redaktora Naczelnego i całego zespołu redakcyjnego.

Troska rzekoma, aby nowemu szefowi umożliwić swobodę doboru ludzi wydaje się być trafna dla Rządu, jak to ma miejsce w innych krajach, że z chwilą ustąpienia Premiera, rozwiązany zostaje cały Rząd.

Z drugiej strony przeczytałem w Tyg. „Solidarność” (Nr 26 z dnia 25.08.81 r.) że Związek „Solidarność” będzie udzielał ochrony dziennikarzom pracującym we wszystkich środkach społecznego komunikowania, przestrzegającym zasad wiary-

godności i rzetelności zawodowej, zawartych w Dziennikarskim Kodeksie Obyczajowym.

Podaję też propozycję, aby uznać prawo zespołów redakcyjnych do udziału w decyzjach o mianowaniu i odwoływaniu redaktorów naczelnych. Czy to nie bardziej demokratycznie?

Jako inwalida wojenny przebywałem obecnie na rencie — emeryturze, dysponuję czasem i mogę śledzić publikacje w różnych pismach. Nawiązując do tematu o naszej „Gazecie” uważam, że godnie szczególnej uwagi są wypowiedzi zawarte w „Życiu Warszawy” (Nr 218 z dnia 19-20 września 81 r.) przez wysoko postawionych członków partii, w artykule pt. „Nie bać się prawdy”.

Oto niektóre z nich: Nadal przezwaga interpretacja, nie podaje się faktów, lecz je komentuje. Np. komentuje się oświadczenie Stefana Bratkowskiego, którego się nie publikuje. Jak można się do takiej krytyki ustosunkować?

Dalej czytamy: jest oczywiste, że każda władza chce mieć wpływ na środki masowego przekazu ze względu na ich potężne oddziaływanie na nastroje i świadomość społeczeństwa. Problem w tym, jak ten wpływ jest realizowany, czy instrumentalnie czy też poprzez wskazywanie zasadniczych kierunków. Przecież sam dobór informacji, jej selekcja, jest propagandą.

Na początku roku środki masowego przekazu (w tym i „GW”) były rozłożone, można było więcej się dowiedzieć (i z tego powodu mieć już lepsze samopoczucie). Można powiedzieć, że „Gazeta” obecna jest już inna, choć o wiele lepsza niż sprzed sierpnia 1980 r., ale trzeba pamiętać, że i stopień społecznych oczekiwań jest znacznie wyższy.

Prasa nie może dzielić Polaków, gdyż jak wypowiedział się prof. Edward Kowalczyk — prezes CK SD (w sondzie „Expressu Wieczornego” z dnia 29.09.81 r.) — Polacy jako na-

ród nie dzieli się, mogą się tylko różnić poglądami.

Przy okazji podam, że na temat wydarzeń w kopalni Węgla Kamiennego „Szczegółowe” porównałem informacje z „Expressu Wieczornego” i „Kurieru Polskiego” (jakże dalekie od siebie) oraz „Gazety Współczesnej”. Z przyjemnością mogę stwierdzić, że (choć z małym opóźnieniem) informacja zawarta w „Gazecie Współczesnej” z dnia 29 września br., w artykule „Trwa strajk w kopalni Szczegółowej” jest najbardziej wyważona i obiektywna, bez dodatkowych sensacji.

Czym kosztem przedłuża się konflikt — to pytanie retoryczne „GW”, które nie wymaga komentarzy, gdyż każdy może sobie na to pytanie udzielić stosownej odpowiedzi.

Dziękuję również za rzeczowe informacje ze Zjazdu „Solidarności”, np. za komentarz z Gdańska red. Jerzego Muszyńskiego pt. „Docho-dzenie do rozsądku”. („GW” Nr 196 z dnia 1.10.81 r.). Jakże niesmaczne na tym choćby nie brzmiał artykuł w „Trybunie Ludu” (Nr 228 z dnia 29.08.81 r.) zatytułowany „Czy tylko pomylenie pojęć” — autora Z. Łakomskiego. Na miłość Boską, nie próbujcie drukować takich publikacji! Prasa zawsze powinna być obiektywna i stać po stronie racji.

Racje są jednak podzielone i trzeba mieć odwagę przedstawić rzetelnie wszystkie racje w sporze. Przedstawić fakty uczciwie i szczerze, a dopiero później je komentować (dyskusyjnie). Władza nie powinna bać się tego, co człowiek chce powiedzieć, jeśli ktoś nie chce mówić tego, co myśli.

Najcenniejszą bronią w propagandzie jest prawda. Nie bójmy się jej — tak kończy się artykuł w „Życiu Warszawy”. Nie bać się prawdy. Tytuł o „Gazecie” na ile innych gazet. Zycze powodzenia i dalszych sukcesów.

Z poważaniem
EDWARD MACKIEWICZ

Kartki z kalendarza

1939 rok

25 września — poniedziałek

Pamiętny dzień dla oblężonej Warszawy. Na miasto spadło ok. pół miliona pocisków wyrzeczonych z tysiąca dział, także tych o najcięższym kalibrze 150 mm (haubice) i 305 mm (moździerze). Miało miejsce pierwsze tego typu w II wojnie światowej bombardowanie dywanowe (300 ton bomb) wykonane za pośrednictwem 400 samolotów Luftwaffe. Stolica płonęła, ale walczyła nadal. Dzięki kontratakowi udało się utrzymać zasadniczą linię obrony.

Na północnym krańcu Polski bronił się Hel. Niemcy nie odważyli się na atak bezpośredni od strony lądu. „Bateria Laskowskiego” uszkodziła m. in. pancernik „Schleswig-Holstein”. Okręt z którego padły pierwsze strzały na Westerplatte.

Z wydarzeń rozgrywających się na naszym terenie przypomnijmy rajd oddziału m. in. młodym rankiem: ulani ci przez Kolinowo i Płaninę podzielił ku koni. Udało się bez walki przejść przez most na Narwi. Oddział zapadł na odpoczynek w lasach Czerwonego Boru.

26 września — wtorek

Pierwszy szturm generalny na Warszawę, utrata fortów Czerniakowskiego i Mokotowskiego oraz ośrodków „Babice”. W walkach obywateli wyróżnił się m. in. batalion im. Ordona, bohater z 1831 r. Miasto pozostało bez światła, wody, dowozu żywności. Kurczyły się także zapasy amunicji, brakowało środków opatrunkowych, nie istniała w zasadzie obrona przeciwlotnicza. W tej sytuacji na Radzie Wojennej zapadła decyzja rozpoczęcia rozmów kapitulacyjnych.

Oddziały SGO „Polesie” przeprowadziły się w nocy z 26 na 27 września przez Bug w rejonie Włodawy. Samo miasto zajęła część dobrze nam znanej z walk nad Narwią Podlaskiej BK. Gen. Kleeberg otrzymał też wiadomość, że pozostałe związki kawalerii z b. SGO „Narew” (dywizja „Zaza” gen. Z. Podhorskiego) są w rejonie Ostrowia Lubelskiego. Natomiast drobne grupy z 18 DP walczą jeszcze na tyłach wroga w Czerwonym Borze, okolicach Brańska, Nurca i Siemiatycz. Wierni żołnierskiej przysiędze.

27 września — środa

Drugiego dnia szturm generalnego na Warszawę, prowadzonego mimo rozpoczęcia z rana rozmów kapitulacyjnych. Zawieszenie broni zaczęło obowiązywać dopiero od godz. 14.00. Zaledwie się znów ulice. Uczucie ulgi miało niepokój o dalszy rozwój sytuacji. Żołnierze polscy nie chcieli opuszczać stolicy — „wykazując na stałe przewagę nad przeciwnikiem tam, gdzie nie jest przynajmniej masą techniczną środków walki”.

Ogółem w dniach od 23 do 27 września obrońcy stolicy stoczyli aż 53 walki. Zestrzelono prawdopodobnie 97 samolotów nieprzyjacielskich. Bolesne były i straty własne: ok. 6 tys. poległych i 16 tys. rannych żołnierzy, a do tego 20-25 tys. zabitych osób cywilnych. Zniszczeniu uległo 12 proc. budynków. „Jedną była obrona Warszawy — pisał M. Porwit — przeprowadzona wspólnym wysiłkiem wojska i obywateli stolicy”, a „przeżyłaby zbiorowa, wyniesiona z obrony Warszawy stały się glebą, na której wyrastała nowa postawa ludzi i grup politycznych”.

Tego dnia grupa wyższych oficerów WP powołała konspiracyjną organizację Służba Zwycięstwu Polski (d-cą gen. M. Karaszewicz-Tokarzewski). Poparci politycznego udziału SZP socjaliści, ludowcy i narodowcy (SN). Walka trwała nadal, zmieniały się tylko jej formy.

Z Białostocznymi wycofywały się wojska niemieckie. Armia Radziecka doszła do linii Suwalki — Grajewo — Drohiczyń.

28 września — czwartek

O godz. 13.00 w fabryce „Skoda” na Rakowie generałowie T. Kutrzeba i J. Białkowski podpisali umowę o kapitulacji Warszawy. W dniu następnym do nielol poszło ponad 100 tys. oficerów (z przemian zatrzymanych, białych broni i ok. 47 tys. podoficerów oraz szeregowych) (miał być zwolnieni do domów). Jeden z podchorążych chciał zabieć gen. J. Rómmla, posiadającego go o straż. Prezydent miasta m. in. S. Staryński napisał w odesłaniu: „Historia oceni należycie to poświęcenie, które nakazało nam trwać na posterunkach do ostatka”. (Staryński aresztowany przez gestapo 2 października 1939 r. został zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach w 1944 r.).

Tekst i rysunek:
HENRYK WILK

Ocalić od zapomnienia

KNYSZYŃ jest przykładem na skalę krajową, gdzie niszczący rytm historii odczuwa się szczególnie silnie. Nie ma tutaj wspaniałych śladów przeszłości, a właściwie nie pozostało po nich nic, co by można było obejrzeć i skonfrontować ze znanymi z historii faktami, mającymi związek z tą miejscowością, która w dziejach Polski zajmuje zaszczytne miejsce ulubionej siedziby króla ZYGMUNTA AUGUSTA. Istnieje nawet wersja historyczna, że król ten zamierzał przenieść z Krakowa do Knyśzyna stolicę, co choć nie ma dostatecznego udokumentowania, to jednak kto wie, czy nie jest to tym wiele prawdy, jeśli weźmiemy pod uwagę położenie Knyśzyna w stosunku do całej XVI-wiecznej Rzeczypospolitej, składającej się — jak wiadomo — z Korony i Litwy. Faktem natomiast jest, że w Knyśzynie Zygmunta Augusta spędził większość swego życia i stąd sprawował władzę nad jednym z najwęższych w ówczesnej Europie — państwem polskim.

Pobyt ostatniego króla Polski z dynastii Jagiello-nów na Podlasiu okryty jest mgłą przetrwałych legend, z którymi przeplatają się fakty historyczne.

Knyśzyn był prywatną własnością Zygmunta Augusta od jego wczesnej młodości, gdy jako kilkuletni następca tronu otrzymał tę posiadłość w prezencie od swego ojca, Zygmunta Starego.

Powiadają niektórzy, że król w Knyśzynie ochotnie przebywał, ponieważ połączony z okolicznymi borami — hartował swą sprawność fizyczną. Wiadomo jednak, że Zygmunta Augusta, wzięty z natury, nie był człowiekiem, który miałby autorytatywne źródło dowodów, że lubił piękne konie (posiadał stadnię liczącą 3 tys. koni) i kobiety. W knyszyńskiej rezydencji król przeżył swój największy w życiu romans z Barbarą Radziwiłłówną. Tutaj był też imię jego romans, bowiem król ten zaszczepił się wzięciem kobiet, których do knyszyńskiego dworu przetrząsało wiele. Pragnąc bowiem zachować ciągłość swej dynastii, zdecydowany był uczynić królową — matką króla, kogoś, kto by mu tylko urodziła syna.

Legenda powiada, że w tym celu król prowadził konaschachy nawiązywał z diabeł, który wskazał tylko tyle, że z tego sprawa zamek królewski rzekomo zapadł się w głąb knyszyńskiej Góry Zamkowej.

Barwne legendy o życiu Zygmunta Augusta i jego pobycie w Knyśzynie — w świetle historycznych faktów jed-

nak błędna. Dwór knyszyński istotnie był ulubionym miejscem pobytu króla, ale wynikało to najpewniej z tej przyczyny, że wśród nieprzebranych borów knyszyńskich chorowity król po prostu mógł skutecznie leczyć swoje wątłe zdrowie. Tu, na przykład, w roku 1553 schronił się przed panującą wówczas w kraju zarazą.

Faktem jest też, że w Knyśzynie istniał obszerny dwór królewski, którego opis zawierał jest w „Rewizji Dworów Starostwa Knyśzyńskiego” z 1561 r. O dworze tym cenną też wzmiankę, w swych zapiskach z podróży w r. 1578,

zamieścił włoski podróżnik Alexandri Guaguini Veronesi, który w Knyśzynie przebywał za życia króla.

Dokładne miejsce, gdzie stał knyszyński dwór królewski nie jest jednak znane. Według miejscowych przekazów ustnych, przekazywanych przez knyszyńskich pokolenia na pokolenie, królewskie rezydencja miała być rzekomo mieścić na wznieśnięciu zwanym do dziś „Górą Królowej Bony” lub „Górą Zamkową”, znajdującym się przy starym gościńcu do Białegostoku i Grodna. Legenda uczyniła z „leśnego”, choć zapewne okazałego dworu kró-

lewskiego — zamek, który podobno zapadł się w głąb góry.

W każdej legendzie jest jednak ziarno prawdy. Kto bowiem wie czy kawałki cegiel i kamień wydobytymi przez rolników przy pracach rolnych na „Górze zamkowej” nie są właśnie szczątkami fundamentów królewskich zabudowań.

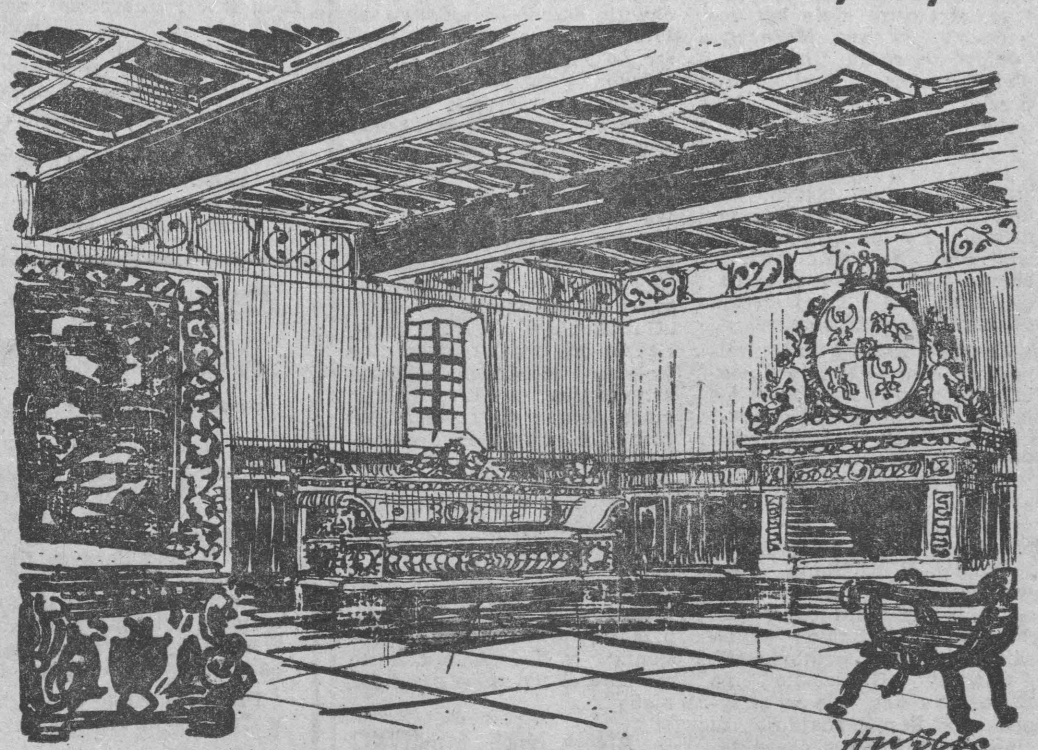
Dwór knyszyński nie mógł być jednak zamkiem, ani miejscem ufortyfikowanym, o czym świadczą choćby fakt, że Zygmunta Augusta także umieszczać skarbiec królewski w pobliżu twierdzy w Tykocinie. Wreszcie faktem jest, że w Knyśzynie ostatni król Polski z wielkiej dynastii Jagiellońów zmarł w roku 1572, otoczony „sokołami”, jak nazywał swe kochanki, czarownicami i wielbicielami, a także czających na królewskie skarby różnego autoramentu oszustami, których, niestety, było najwięcej.

Po śmierci króla o starostwo knyszyńskie toczyła się formalna walka między starostami, Stefanem Bielauskim i Janem Zamojskim. W walce tej — jak świadczy o tym wzmianki w ówczesnych korespondencjach starostwa knyszyńskiego — nierazdo używano „strzelb i wielu do tego ludzi”. Wygrał Zamojski, w czym pomógł mu król Henryk Walezy.

Dwór królewski prawdopodobnie spotkał los podobny do wielu innych renesansowych budowli na Podlasiu, które zostały zniszczone w czasie potopu szwedzkiego.

O dziejach knyszyńskiej rezydencji Zygmunta Augusta ciągle jeszcze więcej mówią legendy niż przekazy historyczne. Co jakiś jednak czas odkrywano są nowe źródła przybliżające się do poznania powstania tego króla z Podlasiem. A trzeba pamiętać, że z naszego regionu żaden inny król Polski nie był tak silnie związany jak właśnie Zygmunta August.

Fakty i legendy o królewskim dworze w Knyśzynie



- Moja ulubiona zabawa jest — łowienie ryb.
- Myślę, że mój ojciec rzadko — chodził trzeźwy.
- Moja mama najwięcej kocha — całą rodzinę.
- Gdyby to ode mnie zależało — nie chodziłbym do szkoły nr 23.
- Gdy będę starszy — przestanę kochać.
- Wolabym żeby — nie było mnie.
- Czekam — aż wyjdę na wolność.
- Nie chciałbym nigdy — być nalogowym alkoholikiem.
- Moim największym marzeniem — jest... wyjść stąd.
- Chciałbym przestać się bać — samego siebie.
- Najgorszą rzeczą, która mogła mi się zdarzyć jest — że jestem tutaj.
- Śmierć — lubię.

Kilka wyrywkowych zdań ze znacznym obciętym testem, który na domiar ma kilka wersji, może laika mylić. Coż bowiem nasuwa się na myśl po tych odpowiedziach? Czyha to, że w podawczym trymmano niewinnego chłopaka.

Opinie wydawane przez Ośrodek Diagnostyczny, bądź co bądź zatrudniający specjalistów, nie były brane pod uwagę. Na dobrą sprawę funkcje tego ośrodka ograniczają się do wypełniania formularzy, które następnie nikomu nie służą, może statystyce. Są ich nie potrzebne, milicja tym bardziej, a już na pewno obojętne są dyrekcji poprawczaka. Czyha, że ktoś odejdzie z tego świata.

ta. Wówczas wyciąga się z szafy akta i stwierdza z urzędowym smutkiem: „To nie był zły chłopak, szkoda go”.

Tymczasem najbardziej pokrzywdzeni poculi się wychowawcy z poprawczaka, skazani przez Sąd Rejonowy w Białymstoku na symboliczne kary w zawieszeniu. Przypomnijmy: Zdzisław Siewniak i Eugeniusz Zuk nie udzielili pomocy umierającemu Jerzemu Łukjanukowi, ponieważ, jak twierdzili przed sądem, byli przekonani iż chłopak symuluje. Sędzia Jan Sidoruk w uzasadnieniu wyroku napisał: „Orzekając o karze Sąd miał na uwadze jako okoliczności obciążające daleko posuniętą ignorancję swoich podstawowych obowiązków ciążących na oskarżonych, ich bezkrytyczność i zniechęlenie wobec losów osoby podległej im, o którą byli winni się zatroszczyć bezpośrednio po przybyciu do zakładu. Takim postępowaniem przyczynili się nie tylko do tragicznego w skutkach zdarzenia, ale i doprowadzili na osoby najbliższe zmarłemu ogrom krzywd moralnych”.

Ani wychowawcy, ani tym bardziej ich obrońcy nie przejęli się takimi sformułowaniami. Ich myśleniem kierowała inna zasada: wyrok nie jest jeszcze prawomocny, wobec czego należy czym prędzej odwołać się do Sądu Wojewódzkiego. Odwołanie zamierzali złożyć także Maria Łukjanuk, matka zmarłego. Okazało się to jednakże w praktyce niemożliwe. Dzwonkiem do sądu, pytaniem dlaczego. W myśl przepisów o rozprawie rewizyjnej może ubiegać się jedynie obrońca, a ten, chociaż początkowo straszył, że postawi w stan oskarżenia nawet Sąd dla Nieletnich, Szpital Psychiatryczny w Choroczynie i kogoś tam jeszcze, po rozprawie wycofał się. Z panią Łukjanuk nie chciał nawet roz-

mawiać. W ogóle temat obrońców to oddzielny problem. Podczas gdy adwokaci oskarżonych: S. Skalmowski i I. Boliński byli na wszystkich rozprawach po stronie oskarżenia za każdym razem zasiadał inny człowiek, który w czasie procesu wypowiadał dwa, może trzy zdania.

— Gdyby jeszcze M. Łukjanuk występował jako oskarżyciel posiłkowy, wówczas mogłaby ubiegać się o rewizję — słysze w słuchawce.

— Jak sobie przypominam, sędzia w czasie procesu mówił: mając ja na myśli: „oskarżyciel posiłkowy”.

Moja informatorka sprawdziła w aktach, że tak było faktycznie, wobec czego Maria Łukjanuk udala się do sądu załatwiać formalności. Nie załatwiła nic, bo minął jakiś termin, co nie zostało dopilnowane w rezultacie 24 sierpnia przed Sądem Wojewódzkim odbyła się rozprawa rewizyjna, o którą wniosł oskarżyciel posiłkowy.

Adwokaci w rewizjach pisali, że nastąpiła obraza art. 164 § 1 kk, czyli wychowawcy nie mogą odpowiadać z tego paragrafu, ponieważ nie byli świadkami sytuacji, w jakiej się znaleźli. Mówiąc inaczej — można ich skazać jedynie wówczas, gdyby przynajmniej, iż wiedzieli, że Łukjanukowi grozi jakieś niebezpieczeństwo, a mimo to nie udzielili pomocy. Z formalnego punktu widzenia obie rewizje zostały napisane w sposób sprawny i logiczny, powiedziałbym — wręcz byskotliwy. Tylko, na Boga, czy sprawiedliwość można mieć, jeżeli jedynie erudycja? Wiadomo przecież, że zdolny adwokat jest przede wszystkim demagogiem.

Jednakże Sąd Wojewódzki w składzie: przewodniczący, Henryk Góról o-

raz sędziowie: Antoni Koldys i Andrzej Czapka — uznał rewizję obu obrońców za zasadną. „Przepiętostwo z art. 164 § 1 kk może być popełnione tylko z winy umyślnej czyli pod względem podmiotowym konieczna jest świadomość sprawy, że życiu lub zdrowiu innej osoby grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo”. Z całego materiału dowodowego zebranego przez nich w czasie postępowania przygotowawczego absolutnie nie wynika, aby oskarżeni wiedzieli o używaniu przez Jerzego Łukjanuka środków farmakologicznych.

W tym momencie człowiekowi najzwyczajniej w świecie opadała ręce. Przecież Zdzisław Siewniak w czasie rozprawy przed Sądem Rejonowym wyraźnie zeznał: „Pomyślałem, że jak to zwykle bywa z naszymi wychowankami, przed wyjazdem ze szpitala otrzymał środki uspokajające...”. Byłem pewien, że otrzymał te środki...”. Wychowawcy wiedzieli, że jest on pod wpływem prochów, tylko nie wiedzieli, jaka zażył dawkę. Odpada więc tłumaczenie, iż byli przekonani o symulacji. Jeżeli wychowanek leżał nieprzytomny ponad dobę to coś powinno w nich się ruszyć, zaskoczyć jakiś bezpiecznik. Jeżeli tak się nie stało, to świadczy jedynie o fakcie, że przełaziła ich rutyna zawodowa i już nie są pedagogami. Ba, pedagogami, nie są już normalnie reagującymi ludźmi.

Tymczasem Sąd Wojewódzki „zasakował” wyrok zmienia i oskarżonych Zdzisława Siewniaka i Eugeniusza Zuka o popełnienie zarzucanego im czynu umiennia i koszty postępowania w sprawie zalicza na rachunek Skarbu Państwa.

Dodajmy jeszcze, że wyrok ten jest prawomocny.

W trzy dni po rozprawie siostra Łukjanuka została na ulicy dotkliwie pobita przez młodocianego chuligana. Nie zna jego nazwiska ale wie, że mieszka przy ul. Ogrodowej i został wypuszczony z białostockiego poprawczaka na trzydniową przepustkę. Pani Łukjanuk dopatuje się w tym fakcie jakiejś zemsty, ale są to jedynie jej podania.

I to by było na tyle — można powiedzieć. Nie mogę jednak oprzeć się jeszcze jednej refleksji, bardziej na przyszłość, ku przestroze. Czy prawa Jerzego Łukjanuka jest osobobniona? Nie chodzi już o jego tragedię, lecz drogę życiową, splot okoliczności, które do śmierci doprowadziły. Rocznik statystyczny udziela bardzo enigmatycznych odpowiedzi. Wiadomo jednak, że przestępstwa przeciwko mieniu, a więc kradzieże, raboby, oszustwo, przywłaszczenia, stanowią w Polsce najpoważniejszą grupę przestępstw.

Ze statystyki też wynika, że czyny Jerzego Łukjanuka układały się w grupie pospolitych. Mieści się on także w dominującej grupie społecznej, z której wywodzią się młodociani przestępcy. Łatwo domyślić się, że pochodzą oni z rodzin bądź to alkoholików, bądź to rozbitych. Na psy schodzą często także dzieci rodziców bogatych, na stanowiskach. Ba, tworzą się nawet elitarne gangi ministerialno-dyrektorskiej latrośli, ale jest to problem dyskretnie tuszowany.

Czy młodociani wchodzą na drogę przestępstwa wyłącznie z własnej winy? Czy problem pozbawionych opieki, którym życie samo podseptuje, aby coś ukradł, zwiedzić, jest dostrzegany przez władzę? Można powiedzieć, że tak. Istnieją bowiem domy poprawcze,

milijony izby dziecka, zawodowi kuratorzy, sądy... Ale instytucje te rozpoznają funkcjonowanie dopiero wówczas, kiedy młody człowiek coś przeskrobie.

Trafia potem na milicyjny komisariat, gdzie dostaje pałą, spędza noc w milicyjnej izbie dziecka, gdzie z kolei uczy się jak należy kręcić, aby nie wpaść, potem jest dom poprawczy i uzupełnienie przestępczej edukacji. Rządkie są przypadki, aby po pierwszym przysyłku młody człowiek opamiętał się, zaczął żyć uczciwie, godząc się ze swoim psim losem. Świątek przestępcy wciąga go coraz bardziej, wchłania w swoje podwórkę.

Łukjanuk kilka razy próbował, kilka razy wpadł. Ocenając jego przypadek dyrekcja Zakładu Poprawczego jest zgodna w opinii, że chłopak ten miał wyraźnego pecha, bo tak naprawdę nie był zły. Dyrektor Malinowski zastanawia się nawet co Jurek w ogóle robił w poprawczaku. Przecież na to nie zasłużył. Po fakcie można gdybać, rozpatrywać, wybierać. Ale trzeba też myśleć o innych wychowankach, którzy los mają nie mniej pogmatwany i jeszcze żyją, trzeba też myśleć o tych, co zaczynają wystawać po podwórkach i pierwszy skok jeszcze przed nimi. Trzeba pomyśleć, ale kto to zrobi? Zapragnawna matka, zurędniciarska szkoła, zrutynizowany sąd, okratowany poprawczak zatrudniający sadyistów homoseksualistów?

— Od sześćdziesiątego siódnego roku u nas tego jeszcze nie było — powiada dyrektor Malinowski — Łukjanuk umarł w sposób naiwny. Trudno to z boku zrozumieć.

KAZIMIERZ SIEMIENIAKO

Już pierwszy miesiąc funkcjonowania szkoły w nowym roku 1981/82 wygląda niezbyt optymistycznie. Wielu uczniom zabrakło podręczników, które stanowiły niezwykle chłodny towar na ostatnim, białostockim targu jarmarku. Fartuszków, strojów gimnastycznych i teczki było tak niewiele (nie mówiąc już o zwykłym ołowiu, konfekcji i bieliznie), że nawet Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego nie zaprosiło tym razem mieszkańców na teren wystawowy, ciesząc się niegdyś dobrą sławą. Okazało się również, że zabrakło tego, czego miało na pewno nie zabraknąć, czyli zeszytów. Nie z winy handlu jednak. Co bardziej przejęci sprawą nauczyciele przeprowadzili sondaż w swoich szkołach i okazało się, że większość uczniów posiada w domu zupełnie nieleżące zapasy zeszytów i brulionów. Niedobór zeszytów mają regulować sklepy uczniowskie, które podobno — jak twierdzą przedstawiciele resortu handlu i przemysłu spożywczego — mają zostać zaopatrzone w szczególne atrakcje: najmniej wyrafowane wyroby kapiunięce.

Nie robiło się w szkołach luźniej. Wręcz przeciwnie. Niemal wszędzie jest więcej niż przed rokiem klas pierwszych. W wielu miejskich szkołach nauka trwa na okrągło dwa następnego roku. Szkoła nr 16, gdzie — jak informuje sekcja regionalna oświaty i wychowania NSZZ „Solidarność” — lekcje odbywają się na cztery zmiany.

O tym, jak niewesoła jest sytuacja w szkolnictwie na terenie gmin, dowiedzieli się ostatnio radni z interpellacji na X sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku.

Oto w Sokółce, 16-tysięcznym obecnie mieście istnieją zaledwie 3 szkoły podstawowe, obliczone na 1400 uczniów. Tymczasem uczęszcza do nich 2,5 tysiąca dzieci i młodzieży. Dwie szkoły już zostały rozbudowane sposobem gospodarczym, ale nie rozwiązuje to sprawy zagęszczenia budynków w żadnym stopniu.

Toteż największą troską tutejszych radnych jest doposażenie, aby projektowana na rok 1983 kolejna szkoła została oddana do użytku do końca następnego roku. Szkoła nie czeka na działania z zewnątrz. W ostatnich latach wybudowano tu 3 przedszkola, ostatnie oddano zupełnie niedawno a swoją przestrzeń, funkcjonalność i estetykę zawdzięcza ono społeczeństwu trudowi mieszkańców miasta. Kolejne przedszkole będzie również budowane systemem gospodarczym. Jest ono bardzo potrzebne, ponieważ obecnie aż 8 oddziałów przedszkolnych gnieździ się w szkołach i internacie. Bardzo pilną sprawą w Sokółce jest wybudowanie odpowiedniego obiektu dla Zespołu Szkół Rolniczych. Dotychczasowe warunki lokalowe szkoły nie pozwalają na przeprowadzenie jakiegokolwiek zajęć praktycznych na miejscu, toteż np. uczniowie Zasadniczej Szkoły Rolniczej — w ramach zajęć praktycznych — strzągają trawniki i przycinają drzewa w mieście, wyręczając MPKG.

Inny problem ma zbiorcza szkoła gminna w Supraślu, aczkolwiek jest to problem dotyczący jednakowo wszystkich szkół, ogrywających pomieszczenia we własnym zakresie. W

związku z wprowadzeniem 5-dniowego tygodnia pracy w szkolnictwie, czas przebywania uczniów i nauczycieli w budynku znacznie się wydłużył. Idzie zima i trzeba będzie o kil-

dobłą historię obrosła nie istniejąca jeszcze, lecz z wyeksponowaniem oczekiwaną nową szkoła zbiorczą. Początkowo w harmonogramie budowy zlikwidowano salę gimnastyczną i dom dla 12 rodzin nauczycielskich, a potem — o paradokse — skreślono cały obiekt, ponieważ „nie można dzielić takiej budowy na dwa etapy”.

Bardzo pesymistycznie patrzą na los swoich dzieci mieszkańcy Sidry. W tutejszej szkole pięć opala się węglem, to znaczy opalało się, bo i tutaj głównym opalem będzie wkrótce drzewo. W budynku brakuje — zresztą podobnie jak w wielu innych szkołach — zaplecza kuchennego, toteż dzieci chodzą na posiłki regeneracyjne do pobliskiej restauracji, mając za towarzystwo niezdarno pijanych, wulgarnych tubylców. Rodzice niepokoją się: wybudowano w Sidrze restaurację, ośrodek gimny, zalew a o szkole wszyscy zapominają. Nawala również szkolna komunika-

cja. Na terenie gminy zdarza się i tak, że do szkoły np. w Krzysztoforach, uczniowie dojeżdżają odkrytą przyczepą przeznaczoną do przewożenia ziemiopłodów.

W Czarniej Białostockiej też niewesoło. Wprawdzie warunki szkół są „jakie takie”, za to zupełnie tragiczne jest to z przedziałkami. Ale tutejsi mieszkańcy należą do optymistów. Postanowili wybudować przedszkole w czynie społecznym. Zawiazali już stosowny komitet, założyli konto w banku, na którym figuruje skromna na razie suma 150 tysięcy złotych. Ale przecież to dopiero początek.

Jeszcze inny problem trapi środowisko Siemiatycz. Tutaj też w przedszkolach tłok jest niezmierny. W 3 placówkach przebywa 378 dzieciaków, o 60 więcej, niż było imiennie. Planuje się więc utworzenie kolejnego przedszkola w największym tutejszym zakładzie pracy, jakim jest „Hortex”. Ale bardziej niż zagęszczenie niskimi stawkami żywnościowymi dla dzieci, co w jednakowym stopniu dotyczy przecież wszystkich przedszkoli w skali kraju, Czasami nie bardzo jest co dzieciom dać jeść.

Pomniki przeszłości

Białystok pod wieloma względami jest wyjątkowym punktem na mapie Polski, z czego, niestety, nie zawsze wypada się cieszyć. Tak się składało, że to miasto (kilkanaście?) razy zaczynało żywot jakby od nowa. Władze i ustroje zmieniały się (zmieniają) wszędzie, ale w naszym przypadku po każdym takim generalnym przedstawieniu zwrócić nie chiano — normalnym było — nie potrafiono zabrać na nową drogę najwłaściwszych składników bagażu zbieranego przez długie lata. Są miasta zamieszkałe przez społeczność rozmiłowaną w historii lokalnej i są też miasta, w których zapomniano o tej nawet niezbyt odległej przeszłości. Co wie na przykład białostoczanin o swym grodzie lat 1919-1939?

Jednym z łączników między dawnymi a dzisiejszymi czasami są pomniki, obeliski, tablice. Było ich sporo przed II wojną światową i w wojewódzkim mieście Białymstoku. Dwa tygodnie temu pisałem o tym. Nieznanego Żołnierza (dziś, jakże wstydliwie, widać go w całym mieście, był największą, choć nie najbarwniejszą, jednostką tutejszego garnizonu).

10 maja 1928 r. odbyło się pierwsze spotkanie organizacyjne mające na celu powołanie komitetu budowy pomnika ku czci poległych w czasie wojny oficerów i szeregowców 42 pułku piechoty. Patronat nad tym przedsięwzięciem objął sam wojewoda; wyznaczono dogodnie miejsce — Zwierzyniec, tuż przy wylocie ulicy Świętojańskiej (M. Nowotki), gdzie w sierpniu 1925 r. przez kilka dni leżała wspomniana poprośniona Płyna Nieznanego Żołnierza. Obliczono koszty budowy na ok. 200 tys. zł, kwotę tę sumy pochodzącej z różnych źródeł, w tym z dotacji państwowych, potracanych przy wypłatach pensji. Wojewoda ofiarował osobiste 100 zł i wezwał „do mego pojedynkowej” gen. E. Smięgłowskiego, by tego dowódcę armii w skład której wchodził 42 pułk piechoty podjął rzeczową rekawicę, ale wydzianka, „Dziennika Białostockiego” (też 100 zł) wskazała na dyrektora elektrowni. Opracowano odczyt i systematycznie ponawiano apele o składki, zarządem jednak zredukowano koszt budowy. Białystok, tak jak i cały świat ogarnięty został przez wielki kryzys gospodarczy.

42 pułk piechoty we wrześniu 1939 r. miał bronić od cinka „Ostrołękę”, pozostając w składzie 18 DP z SGO „Narew”. (Walki zaczęły się już w pierwszym dniu wojny, 11 września pułk wykonał częściowo udane przeciwdziałanie w kierunku Mławy i Nowogrodu. Stąd trzeba było odskoczyć na południe, ale szybko były czołgi i samochody pancerne. W wyniku okradzenia pod Andrzejewem, po morderczych próbach przebiecia, w dniach 12 i 13 września 18 DP przestała istnieć. Broni nie zostały jedynie drobne pododdziały. W obronie Białegostoku walczyli też marszowy batalion 42 pułku piechoty (Wysocki Stoczek — Marcuz), największa wówczas jednostka w mieście. Ci, co zdołali uniknąć niewoli, byli dalej, niektórzy przemierzali z karabinem długie szlaki bojowe II wojny światowej.

Jest klomb, na którym stał pomnik, są zapisy o walkach, ślady po koszarach (kościół pożarniczy), nieco pamiątek muzealnych, wspomnień, tych co przeżyli. Nie sądzę, by w imię odzyskiwania pamięci zbiorowej trzeba było budować na nowo zaprzetywany tu pomnik. Może jednak warto podjąć próbę postawienia na dawnym miejscu zwykłej kamiennej tablicy (glazu?) z napisem informującym o ofiarze życia złożonej w bojach o Polskę przez żołnierzy tak związanego z Białymstokiem 42 pułku piechoty. Pamiętając o tych, co odeszli, a dali dowód swej prawości, zyskujemy sami szansę pozostania w pamięci nadchodzących pokoleń. Ta prawda odnosi się nie tylko do pojedynczych osób i rodzin, ale także do społeczności lokalnych, regionalnych, do narodów.

A. DOBRONSKI

Premiera w Teatrze im. A. Węgierki

„CIEMNY GRYLAŻ” — komedia z dziennikarskich sfer

Kolejna premiera w Teatrze Dramatycznym im. A. Węgierki będzie sztuką Jerzego Dobrowolskiego i Stanisława Tyma pt. „Ciemny grylaż”. Autorzy tej komedii satyrycznej to popularni artyści Teatru Romański w Warszawie, twórcy licznych filmów, programów kabaretowych i kę na motywach rumuńskiej komedii Aurela Baranga podejmują aktualną problematykę społeczną i obyczajową. Warto przy tym dodać, że akcja sztuki rozgrywa się w re-dakcji prowincjonalnego dziennika.

Premiera sztuki odbędzie się w sobotę, 10 bm., o godz. 19 w Teatrze im. A. Węgierki (scena duża).

(CH)

„Gardzienice” w Białymstoku

O Stowarzyszeniu Teatralnym „Gardzienice” białostocianie słyszeli już niejednokrotnie; mieli także okazję czytać o nim w „Gazecie Współczesnej”, BIK-u oraz ośmiu ogólnopolskich. Jednak na ogół teatru ten wiąże się z pewną tajemnicą — zwłaszcza dla widzów przyzwyczajonych do odbioru teatru skonwencjonalizowanego (teatru — instytucji). O „Gardzienicach” można było wprawdzie przeczytać, ale znacznie trudniej swiadczyc ich działaniem artystycznym. Zespół kilkakrotnie odwiedzał Białostockie prezentując rezultaty swoich poszukiwań w naszych wsiach. Towarzyszyli im od blisko trzech lat wyprawom teatralnym „Gardzienice”. Nie chcą jednak uprzedzić widzów szczegółowym opisem czy interpretacją tego z pewnością ciekawego zjawiska artystycznego, bowiem po raz pierwszy białostocianie będą mogli sami w bezpośrednim kontakcie poznać działania grupy. Miejski Dom Kultury zaprosił Stowarzyszenie Teatralne „Gardzienice”. Program ich pobytu

przewiduje, prócz wyprawy wiejskiej, prezentację „Guseł” II części „Dziadów” Adama Mickiewicza. Spektakl obejrzy 11 października w Białymstoku w sali Oddziału Stowarzyszenia PAX o godzinie 20.30. Tych, którzy szczególnie są zainteresowani ostatnimi dokonaniami zespołu odsłaniam do październikowego numeru do piddziennikowego numeru „Zdarzeń” (BIK), gdzie obszernie zrelacjonowałam wielotygodniową podróż „Gardzienice”, wiosną tego roku, po Włoszech. Tymczasem posłusznie się kilkoma wypowiedziami Włodzimierza Stanisławskiego, założyciela, lidera i reżysera grupy, stanowiącymi rodzaj programu artystycznego.

W czerwcu tego roku Stanisławski mówił o swojej pracy do uczestników sesji teatralnej zorganizowanej przez Centro per la Sperimentazione e la Ricerca Teatrale di Pontedera we Włoszech: „Główną misją naszej działalności jest szukanie nowego środowiska naturalnego teatru. To oznacza, że szukamy takich miejsc, a głównie takich ludzi, którzy nie mają świadomości formy.

Należałoby się zapytać, jaki znaleźć inny grunt dla teatru, by stał się on w ludziach czymś dla życia ważnym. Tak jak na przykład obrzędy w dawnej tradycji ludowej. Obrzędy, które były niezbywalną częścią porządku życia i mogły mieć na nie istotny wpływ. Być może nasze Zgromadzenie Wieczne jest próbą restytucji takiego zdarzenia, w którym wątki życia codziennego mogą ulec związaniu lub rozwiązaniu. Ludzie przychodzą do nas z zapytaniem. Zderają się w sobie, emocje podlegają kumulacji. Gdyby ktoś zagrał do chaty, w której trwa Zgromadzenie, widziaby, że role nie są podzielone, a każdy może stać się bohaterem, prota-

gonistą. Staje się nim ten, kto ma większą siłę przebiecia. Naszym zadaniem jest wypełnienie pustych miejsc. Jeśli trwa cisza, która nie gra, my ją zapewniamy. W kulminacji atmosfery proponujemy wyjście na dwór. Można w ten sposób bardzo łatwo zrobić na przykład manifestację. Wiele zależy od zespołu!”.

Warto uzupełnić ten fragment wypowiedzi kilkoma sformułowaniami Stanisławskiego, które zanotowałam podczas konferencji prasowej na Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym „Nöel 79” w Nancy we Francji:

„Wyprawa jest sposobem życia. A w niej podstawową wartością jest teatr. Teatr jest sposobem manifestowania nas samych. Wynika stąd wiele podstawowych obowiązków. Na przykład konieczność odpowiedzi na oczekiwania ludzi — tego, tego i tego człowieka. Nie jest to oczekiwanie na większego — na rodzaj daru. Ten rodzaj daru — to żywa obecność. Trzeba być obecnym

KRYSZYNA KONECKA

w każdym calu. Trzeba umieć słuchać i umieć odpowiadać”. Wracam do wypowiedzi Stanisławskiego we Włoszech: „Spektakl realizuje się w oparciu o dzieło Rabelaisa „Gargantua i Pantagruel”, ale jego struktura może być zawieszona, złamana. Może wytworzyć się rodzaj improwizowanego teatru, który nie był przewidziany. Po spektaklu wracamy do miejsca, gdzie odbywało się Zgromadzenie i zaczyna się inny rodzaj przedstawienia, odwołującego się do schematu „Guseł”. W zasadzie nikt nie ma siły, by cokolwiek robić. Na tych okolicznościach energia trzeba zdźwignąć sytuację, która jest z innej rzeczywistości, z czegoś sennego.

Teraz zbliżam się do centralnego pytania — co leży u podstaw spektaklu? Na pewno nie jest to metoda. Nie są najważniejsze wątki tematyczne. Przypominam, co powiedział Brecht: „Wszystkie tematy są banalne”. Harmonia, kompozycja — tak, ale nie jako przedmiot kultury i estetycznych spekulacji. W działaniu, w powoływaniu biegu zdarzeń, iluż życia spektaklu istotne jest odniesienie partnera do partnera, istota jest — wzajemność”.

Powroty „Gardzienice” na Białostockie nie są przypadkowe. Zespół znajduje tu zjawisko kulturowe charakte-

ryzujące się nagłym zetknięciem — intensywnym spotkaniem — dawniej hierarchii wartości z nowym, „cywilizowanym” sposobem zachowań. Stanisławski nazywa to zjawiskiem „umięramienia kultury”. W chwili agonii — mówił we Włoszech — pojawia się zawsze poświata, która bardzo mocno promieniuje. Widac wówczas wszystkie barwy kultury. W sposób niezwykle wyraźny można zobaczyć, jak kończy się jakaś kultura. Sądzę, że trzeba być świadkiem tego procesu”.

Pobyt zespołu na Białostockie jest częścią permanentnej wyprawy do różnych enklaw kulturowych. Wyprawa „Gardzienice” już rozpoczęła. Aż do końca października w Białymstoku mogą okazać się szczególnym rodzajem świadectwa naszej kultury. Sądzę, że apel skierowany przez Stanisławskiego do Włochów, a dotyczący wyprawy jesiennej, tym bardziej u nas nie traci aktualności: „Chciałabym sformułować apel, aby szczególnie dzisiaj współtowarzyszyć nam w tym przedsięwzięciu. Sądzę, że jesteśmy w Polsce będzie to możliwe. A potem — może już nigdy”.

ANNA NIKE MINEYKO

Zamiast recenzji

Dzisiaj właśnie mija miesiąc od pierwszego koncertu Białostockiej Filharmonii w nowym sezonie artystycznym. I aczkolwiek odbyły się w tym czasie cztery koncerty, nie ukazała się dotąd — co zapewne zauważyli Czytelnicy — melomani — ani jedna recenzja. Czym to tłumaczyć? Moim lenistwem? Zniechęceniem, brakiem czasu? Nic z tych rzeczy. Niesłusznie byłoby te podejrzewać, że coś się zmieniło w stosunku redakcji do mnie, czy do spraw kultury. Czałem ogarniająca mnie nawet wątpliwość, skrupuły, że nadaję w tym gościnności i życzliwości gospodarza, który bądź co bądź, nie tylko muzykę zaprosił na swoje łamy. Dlaczego więc nie napisałem recenzji z owych koncertów?

Odpowiem anegdota, prawdziwa, traktująca o recenzentach. Debiutuje, najbardziej przeze mnie cenionego krytyka muzycznego — Jana Webera. Historia jest krótka. Zamówionej pierwszej recenzji po prostu nie było, chociaż koncert się odbył i krytyk wsłuchiwał się uważnie w każdą fazę, w każdy dźwięk. Powróciwszy do domu i przyspiałszy do pisania skonał, że nie ma żadnego osobistego stosunku do wysłuchanej muzyki, że propozycje wykonawcze były nieliche. Weber postąpił tak, jak powinien postąpić każdy uczciwy recenzent: recenzji nie napisał.

Czy mógł napisać? Oczywiście! Przecież każde wykonanie muzyki jest jednym z wielu możliwości; wśród tych wielu, a właściwie nieskończonej ilości wariantów interpretacyjnych, tylko niekiedy zdarzają się wielkie kreacje, które nam wstrząsają i powodują wręcz konieczność wypowiedzenia się, kryty-

cznej analizy. Częściej są to interesujące, dobre wykonania; najwięcej jednak jest przeciętnych, które nie odbiegają w niczym od samego tekstu, ale i też niczego doń nie wnoszą. Tak można powiedzieć generalnie o całej działalności oddziałowej wszystkich orkiestr, dyrygentów i solistów, dotyczącej pewnej partytury w ujęciu statystycznym. Podmiotem interpretacji jest wszakże człowiek i od niego zależy, czy w danym ośrodku muzycznym i określonym czasie słuchacze mają większe szanse na wybitne wykonanie, czy na przeciętne.

Należałoby się zapytać, jaki znaleźć inny grunt dla teatru, by stał się on w ludziach czymś dla życia ważnym. Tak jak na przykład obrzędy w dawnej tradycji ludowej. Obrzędy, które były niezbywalną częścią porządku życia i mogły mieć na nie istotny wpływ. Być może nasze Zgromadzenie Wieczne jest próbą restytucji takiego zdarzenia, w którym wątki życia codziennego mogą ulec związaniu lub rozwiązaniu. Ludzie przychodzą do nas z zapytaniem. Zderają się w sobie, emocje podlegają kumulacji. Gdyby ktoś zagrał do chaty, w której trwa Zgromadzenie, widziaby, że role nie są podzielone, a każdy może stać się bohaterem, prota-

konomicznie uzasadnione różnice poziomu między wiedeńskimi a białostockimi filharmonikami (tu zaczyna się owo lokalne, niezasadne specyfiki) — czyli przystępuje (obniża) kryteria, albo spotykając się z bezbarwnym, jakim wykonaniem po prostu poniecha recenzji koncertu i zajmie się recenzją nagran gramofonowych, kasetyowych bądź audycji radiowych — jeżeli musi już coś recenzować. Bowiem casus debiutu Jana Webera mówi o jednym: trudno jest pisać o niczym, a na takie właśnie pisanie skazani są recenzenci.

Gdyby tak przeanalizować ukazujące się w Polsce recenzje, okazałoby się, że ich autorzy albo reprezentują jedną z owych trzech postaw, albo zmieniają co jakiś czas postawę. Chcą przecież też być interesującą, jak ich koleżdy z większych ośrodków, a czy długo można w sposób zajmujący relacjonować i oceniać szarost?

Jest jeszcze czwarte wyjście: zmienić gatunek, co też dzisiaj czyni i zamiast recenzji proponuje odnotowanie owych czterech koncertów z paroma refleksjami.

Filharmonia Białostocka zainaugurowała sezon właściwie trzykrotnie.

Pierwszy koncert odbył się już 5 września, ale był to koncert zamknięty, związany z trzydziścirocznicą „Gazety Współczesnej”. Nieoficjalna inauguracja stała się zatem wieczór pianistyczny wypełniony — całosci — przez Regine Smen-dziankę, która w towarzyszeniu naszej Filharmonii wykonała trzy koncerty: o-moll Mozarta (zabrakło tu niestety minimum dramatyzmu, które powinna wyróżniać ten koncert spośród dwudziestu pozostałych tego kompozytora), Concertino Juliusza Żulicia i Koncert G-dur Ravela (zagrany naj-

nawo także zabrakło porządku. Natomiast kompozycja Magina — eklektyczna, chwilałami wręcz prymitywna (zwłaszcza I i II część); najlepszy ostateczny finał, जोरजयसी stoch z obywatelstwa Tadeusza Szeligowskiego. Chętnie usłyszeliśmy tego pianistę w innym, nie własnym repertuarze.

Koncert kameralny sprzed dwóch tygodni wypełniły występy muzyków białostockich: Marii Terleckiej (organy) i Jerzego Burdy (trąbka). Maria Terlecka zapisała się w pamięci słuchaczy

brawurową interpretacją słynnej Tocaty i fugi d-moll Jana Sebastiana Bacha, piękny, trawozowaniem chorału „Nun komm, der Heiden Heiland” tegoż kompozytora oraz barwną, ale zarazem spójną formalnie rejestracją „Improvisacji na temat pieśni Święty Boże” Mieczysława Surzyskiego. W drugiej części koncertu organista dwukrotnie przesiadał się do fortepianu i z tych ryzykownych wędrowek wysłał raczej — jako pianistka — obronna ręką. Je-trąbce bachowskiej trudno nie parcie clana trąpać, zwłaszcza Sutią Telemana. Okazał się także bardzo dobrym trąbaczem grając już na swoim „normalnym” trąbce Koncert Es-dur Jana Krzysztofa Neruda.

Koncert ostatni, niestety, pozostawił wrażenie zle. „Nagrobek Couperina” i „Nagrobek Ravela” okazał się raczej nagrobkiem kompozytora, który jak mi

się wydaje, nieraz przewrócił się w grobie, a wszystko za przyczyną straszliwie śmiertelnej nudy więcej z tej nudy za bardzo zasugerowali się popiętą tytułową. Przedstawiona po raz pierwszy w Białymstoku fortepianowa wersja Koncertu skrzypcowego Beethovena obciąża w pierwszej kolejności w ogóle znalazłby się pianista, który zapropo-nowałby interpretację, w tym samym porównaniu z genialnym skrzypcowym pierwowzorem. W tej wersji o arcydziele zaświadczają jedynie cinki orkiestrowe, których kompozytor róbki był chyba bardzo zmęczony. Wy-lekcia poglobadła na temat ścisłego tu, jego naturą dźwiękową a rozciągnięciem, pomyśl o muzycznego i jego skrzypcowe graniu. To co ze swej ratury niesione na gruncie genialne, prze-nawego jest znacznie gorzej, zdzi-darło się Beethovenowi. Tak też przy-ciekawa ale prosimy się nie powtarzać przez najbliższe sto lat. Dla zatarcia jak najżybciej do oryginału.

Dominującym wrażeniem pierwszego miesiąca wyniesionym z Białostockiej Filharmonii jest szarost, nerwowość i naszej rzeczywistości. Ludzie jednak po-wiśtość zapomnieć. A zatem — tylko spokój może nas uratować.

STANISŁAW OŁĘDZI

Poinauguracyjne refleksje

